

# Czapski, Michał

---

## Wspomnienia z Gimnazjum Zana (1930-1934) : część II

---

Przegląd Pruszkowski nr 6, 39-47

---

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MICHAŁ CZAPSKI

## WSPOMNIENIA Z GIMNAZJUM ZANA (1930—1934)<sup>1</sup>

### część II

Pruszków był najmłodszym miastem w Polsce międzywojennej. Tak przynajmniej określał je ówczesny burmistrz Józef Cichecki w wywiadzie ogłoszonym w „Kurierze Porannym”. Żywotność jego nawet utrzymywała się w okresie kryzysu. Młodego człowieka uderzać musiała niebywała ruchliwość w sporcie. Ciągłe imprezy w parku „Sokoła” — Pruszków owych czasów był silnym ośrodkiem gry w koszykówkę, niczem Białystok. O palmę pierwszeństwa zmagali się gracze „Strzelca”, w zielonych koszulkach, z biało-czerwonymi graczami „Sokoła”. Miało to poniekąd posmak quasi polityczny — jedni reprezentowali lewicę obozu rządzącego, drudzy byli orientacji raczej prawicowej. Z gimnazjalistów w konkurencji tej wyróżniali się Janek Kruszewski i Włodek Skrzypiński. W zimie dominowało łyżwiarstwo. Na stawach Hrabiny odbywały się i mistrzostwa krajowe, miejscowe corocznie. Sensację wzbudzały dwie panienki z gimnazjum: nie duża, o jasnych włosach Lala Cichecka, w jeździe parami, i szatynka Alina Berentówna w jeździe indywidualnej. Był to właściwie popis dwóch burmistrzówien. Stanisław Berent bowiem pełnił funkcję viceburmistrza i działał w tak zw. „Niezależnej Socjalistycznej Partii Pracy”. Jej prasowym organem był dwutygodnik „Czerwone Światła” — grzmiało tam na PPS i II-gą Międzynarodówkę.

A tak w ogóle, to w Pruszkowie nie brakowało silnych indywidualności i w instytucjach municypalnych i w życiu społecznym i gospodarczym. Już samo wprowadzenie prohibicji wymagało nie lada energii, w społeczeństwie bądź co bądź

---

<sup>1</sup> Wszelkie uzupełnienia i sprostowania będą mile widziane przez autora.

dość ubogim w abstynentów. Wtedy jeszcze nie łączyłem z Pruszkowem nazwiska Erazma Majewskiego (1858—1922), uczonego o rozległości wiedzy właściwej ludziom Renesansu. Był geologiem, literatem, archeologiem, filozofem, ekonomistą. Żył współcześnie ze słynnym filozofem niemieckim Husserlem Edmundem (1859—1938) i można by się doszukać u nich nie jednego sądu zbieżnego. Tylko, gdy nasi różni recenzenci i publicyści snobizują się Husserlem, to o Majewskim ani słowa.

Trudno o większą różnorodność, jak w dawnym obwodzie podwarszawskim. I jakież kontrasty — jak to się dziś modnie mówi — w przestrzennym zagospodarowaniu... Skąd nie widać było kominów fabrycznych kilku skupisk miejskich, czy cegielni rozrzuconych wzdłuż pasm bogatych w glinę, natrafiało się na strefy jakby od czasów Księstwa Warszawskiego nienaruszone. Jadąc za Raszynem w stronę Falent — koło tych stawów i łąk z soczystą i gęstą trawą — to człowiek tylko czekał, czy na grobli nie ukażą się idący do szturmu fizyljery Księcia Józefa. A te młyny wodne, mruczące na małych rzeczках, różnych Utratach, Mrównach, Pisach (Pisiach), Rawkach, gdzie witali przybysza umęczeni młynarze w chłopskich granatowych maciejówkach. Wprawdzie zmieniło się odzienie ludzi, ale pejzaż pozostał jak u Chełmońskiego.

Co krok, to się człowiek natykał na historię dalszą i bliższą. Taka zapomniana miejscina Nadarzyn, z zajazdem pamiętającym jakież to czasy... Jan Chryzostom Pasek, uciekając z Warszawy przed pościgiem straży królewskiej, za Tarczynem korzystał z gościny w domu Okunia. Było to w drugiej połowie wieku siedemnastego, a sto lat wstecz do Okuniów, należał szmat ziemi aż po Błonie i puszcę Jaktorowską. Jedyny ślad, poza Powązkami, po tym możliwym rodzie mazowieckim utrwał się w nazwie miejscowości Okuniew, po drugiej stronie Wisły, z ulicą „Rycerza Okunia”. Później dochodziły do znaczenia inne rodziny, jak Szczęsnych, których klucz majątków ciągnął się od Pruszkowa do Grodziska — i tu i tam zostały ulice o nazwie „Szczęsna” i jakaś część PGR-u „Szczęsne”. W okresie pomiędzy wojnami światowymi trudno było wprost wyobrazić sobie istnienie w kręgu oddziaływania Warszawy tak wielkich włości. Naturalnie były i tak zw. „większe majątki”, ale przeważała średnia własność ziemska albo zgoła nie wielkie resztóweczki, wykupywane od zubożałych właścicieli ziemskich przez handlowców warszawskich, przemysłowców, przedstawicieli wolnych zawodów. Modernizowali tradycyjne dworki i traktowali te ośrodki trochę jak rezydencję za miastem. Nie było to jednak regułą. W Marunie, maleńkim mająteczku leżącym nad Pisą Tuczną i na-

leżącym niegdyś do rodziny J. H. Dąbrowskiego, emerytowany dygnitarz kolei petersburskiej, niejaki Gajewski Władysław założył w takim sobie poślednim śpichlerzyku, przypominającym trochę chlewek, „wytwórnę” płyt z paździerzylnianych. Od nazwy miejscowości<sup>2</sup> nazwał je „marunitem”. Miały one przed wojną nie małe powodzenie w budownictwie, używane do izolacji przeciwakustycznej, między innymi w wysokościowcu przy placu Napoleona w Warszawie. Formował je na starej maszynie papierniczej, którą kupił gdzieś na wyprzedazy, napędzanej wodą spiętrzoną w przepływającej obok rzeczce. Na pomysł tej produkcji wpadł przypadkiem, zwiedzając zakłady żyrdardowskie. Uwagę jego zwróciła duża ilość paździerzyl wyrzucanych na zwalę.

Ile pożytku może przynieść włókno lniane, świadczy choćby taki mały proceder, który miał miejsce w wiosce Adamowizna, na południe od Grodziska. Jakiś farmaceuta wytwarzał z niego watę, zwaną „Valetudo”, wcale nie gorszą od bawełnianej.

Ciekawym zjawiskiem było ujawnianie się zamiłowań do mechaniki u mieszkańców wsi. Tu i ówdzie praktykowali samorodni ślusarze, wcale zręcznie zabierający się zarówno do zepsutego roweru jak i do bryczki czy lokomobili. Można było natrafić i na jakiegoś miejscowego „Leonarda da Vinci”, naprawiającego maszyny rolnicze, dekorującego odlewami gipsowymi ściany swego domu i stawiającego stodoły.

Struktura ówczesnego przemysłu nie była taka prosta i w zupełne osłupienie mogła kogoś wprowadzić śpiąca fabryczka, zagubiona wśród sielskiego krajobrazu, — bez widzialnego właściciela i bez robotników, jeno ze stróżem wałęsającym się za ogrodzeniem. Trudno było coś z tego pojąć... „Jak to może być — pytał siebie przygodny obserwator — że nie likwiduje się takich nieczynnych zakładzików?”

Właśnie szło o to, aby zakład nic nie wytwarzał, ale w każdej chwili można było go uruchomić, — był groźbą dla tych, co produkowali.

Później miałem sposobność skojarzyć tego rodzaju obrazki z efektownymi słowami Edwarda Lipińskiego: „Kartele są wielkim złem, ale...” Przejawianie inicjatywy gospodarczej, czy wegetacja pobierających jakieś sumki z kasy kartelu za to, że nic nie robili — to były sprawy dojrzałego pokolenia, a nas czekały codzienne lektury i żmudne analizy tekstów P. E. Neposa, G. J. Caesara.

---

<sup>2</sup> Nazwę tę spożytkował też J. Iwaszkiewicz w jednym ze swoich opowiadań.

Lekcje łaciny... Współczesnej młodzieży, zafascynowanej międzynarodową angielszczyzną, która łaciny nie słyszy nawet w kościele, obcy jest trud wkuwania słówek łacińskich i trzymanie się zasady następstwa czasów. Jeśli ich nie śmiesz, to bardzo dziwi, gdy starzy cytują lapidarne sformułowania starożytnych. Ale wtedy...

Daleki byłby od prawdy ten, kto by powiedział, że łacina była dla nas wszystkim! Język łaciński nie miał tej pozycji, co w dawnych szkołach. Gdzieżby! — zakres przedmiotu o ileż był mniejszy. Wchłanialiśmy stosunkowo mało słówek i nie orientowaliśmy się w morfologii. Dawno minęły czasy, kiedy na politechnikach mile widziany był maturzysta z gimnazjum klasycznego. Wprawdzie gimnazja humanistyczne były nadal w przewadze, ale gwałtownie kurczyła się ilość szkół klasycznych, z obowiązującą greką. Nie były to już lata naszych ojców, kiedy w najmniej spodziewanym miejscu można było trafić na strzępy klasycznej edukacji. Opowiadał mi pewien inżynier, jak późnym wieczorem w kantorze budowy sprawdzał rachunki z sędziwym majstrem budowlanym. Było to grubo przed tamtą wojną. W czasie przerwy w liczeniu, dla wytchnienia zapalili papierosy i nastrój zrobił się jakiś inny, przychylny dla zwierzeń i narracji. I ten majster stary zaczął w tej niepłochliwej chwili recytować Odyseję po grecku.

Nasze czasy, to był schyłek epoki kształcenia umysłów, ba... charakterów według recept starożytnych mędrców. Nacisku łaciny nie odczuwało się bezpośrednio, tym nie mniej wpływ klasyków starożytnych przenikał wszędzie. I co dziwniejsze, — ludzie co nic wspólnego nie mieli z łaciną bezwiednie poddawali się urokowi martwego świata, chętnie używali terminów łacińskich, przysłów, maksym... Łacina w dalszym ciągu kształtowała mowę polską i wpływała na jej rytmiczność. Jakieś dalekie echa mów Cycerona odzywały się w przemówieniach na akademiach i pogrzebach. Wciąż trwał nastrój emanujący ze strzaskanych relikwów Romy i Hellady. Jeszcze za dużo było ludzi zrosniętych z kulturą klasyczną. Przeważnie uczyli w szkołach. Pasja pedagogiczna strzegła ich od trwania w zaczarowanym kręgu specjalistów i kontakt z młodzieżą rozciągali poza program gimnazjalny. Taką widoczną kładką pomiędzy uczniami i uczącymi łaciny i greki był wydawany we Lwowie przez Ryszarda Gańszyńca dwutygodnik „Filomata”, w małym formacie B/6, poświęcony wiedzy antycznej. Ten i ów z nas prenumerował „Filomatę”. Profesor nasz, Stanisław Moczulski był jednym z animatorów pragnących zbliżyć młodzież do świata starożytnych. Energicznie wchodził do klasy i zabierał się, równie energicznie, do przepytywania



z, zadanych lekcji, — ostro i bez podnoszenia głosu. Wszyscy siedzieli jak trusie, prawie nie oddychali. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie żartów... Długo jednak nie wytrzymał w roli nieustępliwego egzaminatora. Zaniechał chodzenia pomiędzy ławkami i wracał na katedrę. Siadał wygodnie na krześle i rzucał kilka uwag treści ogólnej. Chętnie odpowiadał na zadawane mu pytania i nikt się nie spostrzegł, kiedy zaczęły lecieć słowa prelekcji nie przewidziane w żadnym programie szkoły średniej. Mój Boże! jakżeż on nas traktował, nas nieuków i płaskich spryciarzy. Słuchaliśmy o związkach językowych ludów indoeuropejskich, znaczeniu filozofji greckiej, luminarzach nauk klasycznych i wkładzie uczonych polskich w studia nad starożytnością. Prawie nie było lekcji, aby nie wspomniał o Tadeuszu Zielińskim, o jego komentarzach do dzieł klasyków, poglądach na religie pogańskie. Było to nieustanne wyrażanie podziwu dla mistrza. Wsłuchani w słowa Moczulskiego, odczuwaliśmy poniekąd współobecność profesora Zielińskiego. Choć nigdy go nie widzieliśmy, nawet jego portretu. Ale pod urokiem słów w imaginacji naszej zaczął się formować obraz wielkiego filologa. I gdyby ktoś z nas znalazł się przypadkiem na Krakowskim Przedmieściu i zobaczył przemierzającego dziedziniec uniwersytecki starca z wielką i białą brodą, zatrzymałby się i odkrył głowę.

Fortecą łaciny była klasa siódma. Stamtąd to wybiegał dwa razy w miesiącu Jurek Horbaczewski — wielkie, kochane chłopisko — i leciał przez wszystkie klasy i darł się jak opętany, z tym swoim uroczym kresowym akcentem, Filomaaaata!!! A Władek Konopnicki — jakże pięknie skandował bukoliki Wergilego, „Metamorfozy” Owidiusza.

Atoli i w młodszych klasach zaczynało budzić się zainteresowanie antykiem. Moczulski uporem swoim i siłą przekonywania, pozbawioną fanatyzmu i egzaltacji, potrafił — rzecz zdumiewająca — stworzyć atmosferęomalże filarecką. Uważał, nie bez racji, że — aby wprowadzić nas w klimat życia starożytnych — dobrze byłoby posłużyć się mirażem, pomóc wyobraźni choćby złudnym rysunkiem. W sali rekreacyjnej na drugim piętrze powstały jakby obrazy iluzjonistyczne, odtworzające wnętrze domu rzymskiego, — jego centralną izbę (atrium) z nieodzowną w środku sadzawką (impluvium). Z tą sadzawką to były same kłopoty. Bez dziury w stropie niepodobna było tego zrealizować. Napomykano o malowidło, imitującym wodę, z falami — to robi wrażenie i wprowadza nastrój skupienia. Każdy będzie patrzył na wodę. Na coś się tam wtedy zdecydowano. Pamiętam tylko szkice kolumnady na ścianach.

Ryzykantem, pełnym coraz to nowych pomysłów, był Le-

szek Chełmiński. Całe godziny trawił na fałszowaniu zaświadczeń szkolnych i podrabianiu podpisu ojca. Przed każdą lekcją gimnastyki składał wizytę w gabinecie lekarskim, jakoby z wysoką gorączką. Tak manewrował, aby z termometrem znaleźć się jak najbliżej radiatora. Doktor Fitkał łapał się za głowę: „czterdzieści dwa stopnie, jak ty to możesz wytrzymać... Pakuj się do łóżka.”

Miał coś ze współczesnego kaskadera, skacząc z piętra na półpodest. Nocą włamał się, drogą przez piwnice i salę rekreacyjną, do gabinetu fizycznego, celem poprawienia zeszytów z pracami szkolnymi; smarował się kredą podczas klasówki, niby bliski omdlenia, aby wydostać się na chwilę z klasy i wrócić z gotowym wypracowaniem. Słynna była jego afera z „Bryksolem”. Bryksol była to substancja o barwie ciemno-brunatnej i konsystencji sprasowanej płytki z torfu, jakiej używa się przy kolekcjonowaniu motyli, o zapachu niezwykle silnym. Sprzedawany był w szczelnym opakowaniu. Przed użyciem zdzierano się opakowanie i zawartość wieszano w samej tylko perforowanej koszulce — w pomieszczeniu, gdzie wydzielane były niemiłe wonie. W omawianym wypadku bryksol wieszany był w WC-cie profesorskim, zamykanym na zwykły zamek. Dla Leszka sforsowanie takiego zamku było dziecinną igraszką. Bryksol wydobyty został z koszulki, rozdrobniony i rozrzucony po wszystkich klasach, szczególnie intensywnie sypany pomiędzy kartki dzienników lekcyjnych. Zapach tego preparatu, niewątpliwie bardzo pożyteczny — dopóki zwalczał smród naturalny, w normalnej atmosferze był jak złe ziele. To też nikt z profesorów, po przewróceniu kilku kartek dziennika, nie wytrzymał na katedrze i cofał się w głąb sali. Ale i tu aromat go dopadał. Koleżanki również zaczęły odczuwać działanie osobliwej „perfumy”. Wszyscy uskarżali się na ból głowy. Wołano woźnych, dyżurni otwierali okna. Dyrektor, wiedziony nieomylnym instynktem, wpadł do naszej klasy jak furia, z nieodłącznym Werpachowskim. Nastąpiła ogólna rejterada. Nie mało było wtedy zamieszania.

Epokowe wydarzenie w historii gimnazjum Zana, którego inspiratorem — jakże inaczej — był także Chełmiński, miało miejsce znacznie później, w roku 1935-tym, kiedy nie było mnie już w gimnazjum. Ale to już dalsze sprawy.

Leszek posiadał, rzadki w naszym społeczeństwie, zmysł przedsiębiorcy, — myślał o dorobieniu się własnego kutra, dla przewozu drobnicy. Mieszkał z owdowiałym ojcem i siostrą gdzieś w rejonie ulicy Bursowej.

Wśród różnych pamiątek rodzinnych poczesne miejsce zajmował album z barwnymi reprodukcjami obrazów Jana Chełmińskiego (1851—1925). Ów świetny batalista był bratem

Leszkowego dziadka. Nie mogłem oderwać oczu od wizerunków koni, pysznie oddanych, — w polu i na paradzie.

I tak przechodziły miesiące, a nam chłopakom przybywało centymetrów. W następnej, szóstej klasie nastąpiła fuzja klas z niemieckim i francuskim, przybyło też coś nie coś z innych szkół... Dzięki doszlusowaniu Irki Borzymińskiej i Mańka Łukasika wzmocniła się pozycja łaciny. Zastaliśmy też i tych, co zbyt dobrze czuli się w szóstej klasie.

Bardzo elokwentny był Józiek Różański, — wysoki, prosto się noszący, w rozpiętej marynarce, mieszkał na Woli i należał do klubu piłkarskiego o dumnej nazwie „Ordon”. Juchtmann Norbert, „towarzysz jego nieodstępny”, przybył z Pruzany, z Polesia; dobrze stał z łaciny i rekordowo tańczył kozaka. W przysiadach przechodził całą salkę, to ręce z hukiem zabijał, to w górę wyskakiwał i trzeba było trochę poczekać aż spowrotem opadnie na podłogę.

Zwiększała się liczba dojeżdżających z innych miejscowości. Przybywali nie tylko z Warszawy, także z Włoch, Ursusa, Piastowa. Od zachodu dopływał Żyrardów, Grodzisk, Milanówek. Bardzo dopisywał Brwinów. Co rano zjawiała się stamtąd cała kolonia młodzieży pod opieką księdza prefekta Walentego Malewskiego. Był tam Stasiak Rayzacher, Dulski, Kaizer, ładne i miłe obydwie Gockowskie, a ze starszej klasy wysoka i smukła Szudejkówna.

Z przełożonych najczęściej zmieniali się prowadzący gimnastykę. Różni się trafiali... Od niezwykle subtelnych inteligentów do osobników o wzięciu piłkarzy be-klasowych. Był też bardzo krótko jakiś trener z YMKA<sup>3</sup>, żywo przypominający rewiowego konferansjera.

Gimnastyka była niejako zaprawą do gier i lekkoatletyki. A lekkoatletów nie brakowało... Tadek Szuster miotający kulą, w biegach krótkich mocny był Świrczewski, później błysnął Sztrausman, aby ustąpić miejsca Ostrowskiemu. Nad sprawnością fizyczną Heńka Sztrausmana nie mógł się nadziwić magister Tyszka: „ze wszystkimi przedstawicielami narodu wybranego mam niebywałe kłopoty, a tu... taka niespodzianka! W długich dystansach najwytrwalszym był Jurek Rzymiski. „Widzę go przed oczami duszy mojej” jak przebiega — ze straszliwym wysiłkiem — trasę trzykilometrową, z chustką w zębach.

Sporą jest kwestia, jak wcześniej u młodych ludzi ujawniają się dyspozycje w kierunku jakiegoś zawodu. Dawnymi

---

<sup>3</sup> Założona w Anglii przez protestantów międzynarodowa organizacja młodzieżowa. Miała cele wychowawcze. W Polsce pełniła rolę raczej klubu sportowego.



laty prawie w każdym życiorysie męża wybitnego nie omieszkało zaznaczyć, że „już od ławy szkolnej...” Może w tym wyartym powiedzeniu tkwi jakieś źdźbło prawdy? Janek Świrczewski nie rozstawał się z kompletem cyrkli i we wszystkim, co robił, zdradzał rzadką systematyczność. Maniek Łukasik tkwił bez przerwy w oku cyklonu dyskusji politycznych, nie tylko o Marksie i Lassalu, no i spory nieustające na lekcjach religii z księdzem prefektem.

Czyż z tych drobnych, nie ruszonych zębem czasu, twarzyczek społeczności szkolnej można było wyczytać przyszłe losy ich właścicieli? Będą z nich błyskotliwi adwokaci, skupieni inżynierowie, trybuni ludowi, uspokajająco uśmiechnięci lekarze, pisarze, żurnaliści.

Na jednej z lekcji higieny, wyłącznie dla chłopców, dyrektor zwrócił się z zapytaniem, który z nas myśli o studiach medycznych? — wstał jeden, Górski Januszek. Doktor Fitkał był wstrząśnięty: „za moich czasów 80% kolegów marzyło o szczytnym zawodzie lekarza!”

Nie były to już lata uniesień nad Darwinem, powszechnego pasjonowania się rewelacjami w biologii. Trudniej też było o amatorów na łapiduchów. Natomiast sztuka wojenna nie jednego pociągała. Na ćwiczeniach z przysposobienia wojskowego prześcigano się w umiejętności władania bronią i popisywaniu się znajomością ugrupowania oddziału w marszu i natarciu. Najczęściej słyhać było Dajczera. Były jednak autorytety militarne nie do obalenia, jak Władek Stypułkowski, Fiutowski, Ostrowski. Pełnili oni kolejno funkcje szefów hufca szkolnego i myśleli nie na żarty o karierze wojskowej.

Codziennie w szatni na dole zmienialiśmy buty. Wewnątrz gmachu obowiązywało chodzenie w miękkich pantoflach. Były to przeważnie popularne pepegi (Polski Przemysł Gumowy) lub łapciowate „gimnastyczne” pantofle brązowe. Rzadko, wchodzące dopiero w życie, dość drogie obuwie na podeszwie z włókna importowanego z Pawy. Uwagę ogólną zwracał Wojtek Żukowski z Milanówka, ruchliwy już od samego rana. Był z młodszej klasy. Ożywiał ospałe relacje chłopaków ze zdarzeń dnia wczorajszego jakimiś niezwykle dziwnymi historiami. A miał ich pełno w zanadrzu...Patrzył na zaciekawionych słuchaczy z za firanek rzęs czarnymi oczami, nieustannie zdziwionymi i jakby trwającymi w zastygłej ironii. Były to istne eseje mówione, jakby urywki z vie romansée, — po mistrzowski odświeżane stare zdarzenia i ujmowane z boiska postaci z panteonu narodowego. Mówił o tym wszystkim z takim przejęciem, jakby to dopiero co się stało... Nie były one jednak w charakterze prób Boya-Żeleńskiego „odbrązawiania” naszych znakomitości czy gwałtownych sensacji o „Ogniem

i mieczem" docenta lwowskiego Olgierda Górki. Można by je zaliczyć do „obrazków z dziejów ojczystych”, zmyślonych a może i prawdziwych, ale zawsze pogodnych, połączonych nie tyle z charakterystyką ludzi co z zabawnym epizodem. Jak to księciu Józefowi Poniatowskiemu na jakiejś defiladzie odkleiły się owe zabójcze baczki i była wielka konsternacja... A słuchający tak jakoś byli oczarowani barwną facecją, że nikomu nie przyszło do głowy, iż piękny arystokrata nie mógł łyścić w miejscach, gdzie ludzie z reguły nie łyseją.

Skąd on brał te wszystkie opowieści, — czort wiedział...

Michał Czapski